

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego

w Krakowie, Plac Maryacki L. 9
róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór ekryc damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

GASTON LEROUX.

BALAOO

3)

I nagle straszne sapanie usichło... nic już nie słysząc od sufitu... nic nie słysząc!

I nic też nie widać przez okienko nad bilardem.

Owszem! owszem! Widać, coś, co wraca... co spuszcza się powoli: „dwie nogi Blondela, które się kołyszą“, kołyszą, w końcu ustają i wiszą bez ruchu.

I nic już niema w sali oberży pod Czarnem Słońcem, tylko głęboka cisza i te dwie nogi bezwładne nad bilardem, a obok w pokoju Patryk Saint-Aubin zemdlny...

...A może także i morderca!...

Bo jeżeli wcisnął się, gdy mu otworzono drzwi od ulicy, to przecież teraz musi jakoś wyjść.

ROZDZIAŁ II.

Najdziwniejszy w świecie ślad.

Tego ranka mieszkańcy Saint-Martin-de-Bois, wcześniej, niż zazwyczaj, powyglądali ze swych okien. Pragnęli jak najprędzej dowiedzieć się o przyczynie hałasów nocnych. Wkrótce rozeszła się wieść o zamachu kolejowym i już poczęto sąsiadów dopytywać o szczegóły — gdy ujrano wielkiego Roubiona, biegnącego jak wariat przez ulicę. Napróżno starano go się zatrzymać i zapytać o przyczynę pośpiechu tak niezwykłego! Gdy się to nie udało, wówczas ciekawi udali się za nim do domu mera, gdzie oberżysta począł dzwonić gwałtownie. Pan Jules, zaspany, ukazał się w oknie. Zobaczył zmieszanego i wystraszonego Roubiona i zeszedł na dół by mu otworzyć. W parę minut później wyszli razem i mer wyglądał równie przerażony, jak i wielki Roubion. Obaj szli szybkim krokiem, nie odpowiadając nikomu, w stronę oberży pod „Czarnem Słońcem“. Kilkaście osób podążyło za nimi, zabierając po drodze napotykanym przechodniów. Ale wszyscy zatrzymali się przed głównymi drzwiami oberży, do której weszli tylko mer i Roubion.

Prawie jednocześnie nadszedł zacny dr. Honorat, którego sprowadził chłopak z gospody. Doktor wszedł do środka, służący jednak został na ulicy i wyjaśnił zbranym, co zaszło.

W taki to sposób dowiedziano się w Saint-Martin-de-Bois, że znaleziono komiwożera Blondela powieszonego podobnie jak Lombard i Camus. Cała wieś, tak nazywano Saint Martin-de-Bois, chociaż w rzeczywistości było to duże miasteczko, które rozwinęło się przez przeprowadzenie linii z Belle-Etable, cała wieś wkrótce zebrała się przed oberżą, zapelniając ulicę Nową.

Żeby ominąć ten tłum, zatrzymywany przed drzwiami oberży przez wczelnego, ojca Tambour, podróżni, pospiesznie opuszczający gospodę i wieś, musieli wychodzić tylnymi drzwiami, od strony szkoły. Tamtą też drogą, w niespełna godzinę później, udali się na dworzec kolejowy mer i Roubion, idąc na spotkanie sędziego śledczego, p. Herment de Meyrentin.

Sędzia, zawiadomiony w nocy o zamachu kolejowym, na linii Saint-Martin-Moulins, powinien był przyjechać z Belle-Etable o godzinie wpół do siódmej. Pociągi, wobec zepsucia toru kolejowego, dochodziły tylko do Saint Martin.

Uczekując na przybycie sędziego, mer i oberżysta przechadzali się po peronie, z głowami opuszczonymi, z rękami założonymi w tył, dzieląc się swymi myślami półgłosem, jak gdyby obawiali się, żeby ich kto nie podsłuchiwał. Rozmawiali o braciach Vautrin. Mer zgadzał się na to, że nie przynosili

oni zaszczytu wsi, że możnaby ich pociągając do odpowiedzialności za drobne przestępstwa, był jednak pewny, że nie oni popełnili zbrodni. Wielki Roubion zadawał sobie odpowiedź półgłosem: „Lepiej nie mówić o tem, panie merze“ — miał jednak przytem minę, jak gdyby wiedział o wiele więcej, niż chciał powiedzieć. Zapomniał o swej zwykłej ostrożności. Gdyby była tu pani Roubion, niezawodnie uszczypnęłaby go, dla ostrzeżenia, w ramię.

Mer podniósł głowę i stwierdził fakt, że wszystkie te zbrodnie stają się coraz bardziej tajemnicze. Lombard i Camus nikomu nie uczynili nic złego... nie mieli wrogów... Nie byli ani źle ani dobrze z braćmi Vautrin. Lombard gołił ich raz do roku bezpłatnie, a Camus, któremu byli winni jakąś drobną sumkę, nigdy nie żądał jej zwrotu.

— Możliwe! — rzekł Roubion, obojętnie się — ale co do tego biednego Blondela, wiemy napewno, że bracia byli z nim bardzo źle!

— O, to kwestye polityczne! — mruknął mer.

— Co do tego, panie merze, zobaczy pan, że źle pan czynił, posługując się nimi w polityce.

— Sami się uarzuć! — odparł p. Jules bardzo podrażniony.

W czasie tej drobnej sprzeczki nadszedł doktor Honorat i przyłączył się do nich, opowiadając, że Patryka, którego stan nie groził niebezpieczeństwem, kazał odprowadzić do jego wuja, starego Saint-Aubin. Patryk stale był jakby odurzony i na wszystkie pytania odpowiadał trząsieniem głowy. Co do ciała Blondela, to złożono je na bilardzie, starając się jak najmniej go dotykać. Doktor nie chciał rozpoczynać badania przed przyjazdem sędziego. Nakazał tylko Patrykowi spokój, co dla dochodzenia było obojętne.

— Dobrze pan uczynił — rzekł mer. — Zresztą, o ile mogłem coś zrozumieć z jego bełkotania i gestów, mordercy on nie widział.

Zacny doktor Honorat rzekł:

— Czy poznał morderców, czy nie, to obojętne. Jeżeli ich nawet nie widział, mam nadzieję, że po tem, co zaszło wieczorem między Blondelem i Hubertem, nie będzie się ich oszczędzać!

— Sędzia uczyni, co zechce — odparł mer, coraz bardziej zdenerwowany.

— Sędzia jest w ręku pośła. Zobaczy pan, że znowu im się uda!

— Ach, nigdy. Drogi doktorze, jeśli pan wiesz cokolwiek, powiedz pan! Nie naśladuj pan milczenia naszych wieśniaków.

— Mam powody być co najmniej tak ostrożnym, jak oni! Często zdarza mi się jeździć w nocy samotnie. Bardziej, niż ktokolwiek inny, bywam narażony na napady.

Nie mógł się jednak oprzeć chęci opowiedzenia, iż kilkakrotnie spotykał w okolicznym lesie braci Vautrin z wozem, przykrytym gałkami, pod którym ukrywali zapewne coś, co ukryć pragnęli.

— Powinien był pan zajrzeć! Może to akurat była pańska komoda.

Doktor Honorat chwycił mera gwałtownie za rękę.

— Dość, dość, panie Jules! Wie pan dobrze, czego się można po nich spodziewać!

Mer zatrzymał swych towarzyszy i, biorąc każdego za guzik od paltota, rzekł:

— Jeżeli mówię wam, panowie, że nic nie wiem, znaczy, że istotnie tak jest! Doprowadzacie mnie do ostateczności!... A przedewszystkiem, trzeba, żebyście wiedzieli o jednym, mianowicie o odkryciu śladów, które nie mogły być zrobione przez trzech braci!

— O jakich śladach pan mówi?

— O znakach na szyi...

— Ba! — krzyknął Honorat. — Ma pan o czem mówić, widziałem doskonale te znaki!

— Nic pan nie widział!

— Sądzi pan?

— Sędzia dziś panu to powtórzy. Ostatecznie ja mam już dosyć tych upartych podejrzeń! Jedno w kółko: „Vautrin i Vautrin!“ Nie, doktorze — powtarzam — nic pan nie widział!

— Ależ ja pierwszy badałem szyję Lombarda i Camusa!

— Niech się pan nie obraża, ale gdyby pan na to badanie zużył tyle czasu, co lekarz sądowy, byłby pan zauważył, że straszne ślady uduszenia wyciśnięte były na wspak!

— Jakto? Na wspak!

— Właśnie! I to jest tak nieprawdopodobne, że nie można się dziwić, iż pan tego nie zauważył. Zobaczył pan odciski palców i to panu wystarczyło, żeby orzec: „Zbrodnia uduszenia“. A trudno było dojrzeć, że odcisk wielkiego palca znajdował się niżej, niż odciski innych. Żeby to sobie wytłómaczyć, trzeba przypuścić, że zbrodnia była dokonana przez zbrodniarza, wiszącego głową w dół!

Doktor i Roubion spojrzeli na mera w taki sposób, jak gdyby ten postradał zmysły.

Potem doktor rzekł, wzruszając ramionami:

— Nie zastanawiałem się bliżej nad tymi odciskami, gdyż uważałem to za zbyteczne. Fakt uduszenia był stwierdzony. Nigdy nie przyszła mi do głowy myśl, żeby dokonano tego w sposób, o jakim pan mówisz; łatwiej i prościej było przypuścić, że zbrodniarz zaszedł swą ofiarę z tyłu i przy duszeniu głowę przegiął w tył.

— Przypuszczenie to zostało przy badaniu odrzucone — odparł ostro mer.

— Więc jakżeż? — zapytał nieśmiało Roubion.

— Więc dajcie mi spokój z braćmi Vautrin! Czy widzieliście ich kiedy chodzących głową w dół?

Doktor i Roubion spojrzeli po sobie.

— No, dobrze! Czegóż więc szuka pański sędzia? I co on o tem myśli? — zapytał zacny doktor Honorat, zakładając ręce na piersiach.

— Może się go pan o to zapytać — odrzekł mer.

W tej chwili pociąg wjeżdżał na stację. Pierwszą osobą, która zeń wysiadła był p. Herment de Meyrentin. Wyskoczył szybko z wagonu i zdawał się toczyć na swych krótkich nogach w stronę oczekujących nań władz miejscowych. Sędzia śledczy był okrągły jak bąk. Miał on dobrą, sympatyczną twarz, którą rozweślał mały rozdęty nosek, a której poczucie odpowiedzialności dodawało powagi. Za sędzią postępował z trudem jego pisarz, w podeszłym wieku, ubrany w długi czarny surdut.

Mer, Roubion i doktor podeszli na spotkanie sędziego, który okręcił się kilka razy, zanim zdołał się zatrzymać. Nie dając nikomu dojść do słowa, zwrócił się do mera:

— Ale, panie merze! Nic mi pan o tem dotąd nie mówił. Podobno przed piętnastu laty znaleziono w waszej wsi wszystkie psy wywieszane?

— Tak jest, panie sędzio. Pan pozwoli...

— Więc to prawda?

— Panie sędzio mamy wielką nowinę!

— Nie może być większą, niż ta! Prawda to, czy nie?

— Prawda!

— I nigdy nie dowiedziano się, kto to uczynił?

— Nie, panie sędzio.

— Boć przecież, ostatecznie, nie mogły się one powywieszać same!

— Nie, panie sędzio. Pan sędzia pozwoli, znowu popełniono u nas morderstwo!

— Hę?

— Tak! Zamordowano komiwożera z Clermont Ferrand, Blondela. Dziś w nocy powieszono go w gospodzie Roubiona.

Sędzia spojrział na nich.

— Do kroćset! — krzyknął.

I zawrócił.

— Chodźmy!

Obecni poszli za nim. Wszyscy wsiedli do omni-